

ROZMAITOŚCI.

Dnia 31. Października. N^{er} 44.

Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Dokończenie. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. 37. 40. 41. 42. 43. Rozmaitości.)

XII.

Niespodziewany spadkobierca.

Przez kilka dni zostawała Giglia prawie bez zmysłów; myśl że zazdrość zmarłego jój męża nas prześladowe z poza grobu, trapiła ją bez ustanku; popadła w niebezpieczną chorobę. Kilka razy obawiałem się o jój życie, tak gwałtowne były napady gorączki w których owa straszna myśl nieprzestawała ją dręczyć. W jednej z tych okropnych chwil, ująłem ją w ramiona i złożyłem pocałunek na jój usta. Uspokoila się cokolwiek, gorączka się zmniejszyła, a kilka-godziny sen pokrzepił jój siły. Odtąd ile razy maligna wracała, uśmierzałem ją siłą méj miłości, zarliwością méj woli i gorącym pragnieniem utrzymania jój drogiego życia. Jak gdyby cudem jakim, z którego sam sobie nieumiałem zdać sprawy, przelewałem w nią tym sposobem część mego życia, by ją ocalić; moje gorące technienie przywracało zwolna zdrowie w jój wzburzone łono. Namiętność moja tak była silna, że się stała cudotwórczą.

Jednak sądziłem że obecność jój rodziców jeszcze więcej się przyczyni do jój zdrowia i spokoju, więc pomimo mego dawnego żalu do Maryi Michelli, napisałem do jój zacnego męża Giannone. Porzucili wszystko, by odwiedzić córkę, i dzięki memu nieustannemu pielęgnowaniu, zastali ją już daleko zdrowszą gdy przybyli do Ankony.

Ale matka Giglii widząc że niebezpieczeństwo już minęło, przemyśliwać zaczęła, jakby mnie od niej oddalić. Niebrakło jój do tego powodów; przedstawiała mi, ile dla méj obecności cierpieć może sława młodéj wdowy, jakie krzywdzące domysły obudzić może między ludźmi odnowienie dawnéj naszéj przyjaźni i terazniejszy nasz stosunek; zresztą, mawiała, czyliż na mnie nieczekają w Rzymie z wielką niecierpliwością mistrz Angelo Volpe i jego córka Plautilla!

To wszystko niezdolało mnie skłonić do opuszczenia Giglii choćby tylko na krótki czas; uwolniony byłem od mego mistrza przynajmniej na sześć mie-

sięcy, a potem obawiałem się, że Marya, gdy się oddalę, zgotuje mi nową zdradę. Widząc że siedzę na miejscu, uwiadomiła mnie, zawsze bardzo słodziutko i w najgrzeczniejszych wyrazach, że wkrótce ma przybyć do Ankony Monsignor Ettore Testaccio, chresny ojciec Giglii. Ta wiadomość zrobiła na mnie wcale inne wrażenie jak-to, którego się spodziewała.

Nietylko bowiem niezatrwożyła mnie ta wiadomość, ale owszem ożywiony nową nadzieją śledziłem codziennie w dzienniku, czy nieprzyjechał Cameriere secreto, ażeby mu się przedstawić, nim jeszcze usłyszysz o mnie.

Jednego poranku przyszedłem jak zwykle około godziny dziesiątej na śniadanie do kawiarni „la Marina,“ i wziąłem do rąk gazetę, by przeczytać spis osób nowo przybyłych do miasta; gdy przystąpił do mnie ów żyd czy Ormianin, który sprzedawał amulety przeciw urokom.

— Mam Excelencyi coś powiedzieć, zagadnął mnie znienacka.

— Cóż takiego?

— Już przybył.

— Kto taki przybył?

— A któż inny, rzekł głosem pokornym i kłaniając się z obłudą, Monsignor Ettore Testaccio.

— I któż ci powiedział, że ja oczekuję Monsignora Ettore Testaccio?

— Pan sam, signor Manello, alboż on panu niepotrzebny, by panu pomógł przełamać złośliwy upór Maryi Michelli?

— Ja ci to powiedziałem? stary hultaju! Niemiałbym kogo wybierać na powiernika!

Stary niecnota uśmiechnął się złośliwie i pokazując mi garść swych amuletów, rzekł:

— Niech sobie Excelencya kupi moje amulety, doskonale na uroki; kto wie co może nastąpić.

— Daj mi pokój, zawołałem, i trzymaj swe graty, stary żydzie! Jakżebyś ty mógł mnie ochronić od uroków? Ty sam jesteś chodzącą gettaturą! odepchnąłem go od siebie mówiąc te słowa. Nic nieodpowiedział na to niegrzeczne obejście się; ale utkwił we mnie swój wzrok przenikliwy z tym samym złośliwym wyrazem, który na mnie takie wrażenie zrobił, gdym przybył do Ankony. Na ten widok dreszcz mnie przejęła; wziąłem znowu do rąk gazetę, i rzeczywiście znalazłem imię Monsignora między przybyłymi do Ankony; stary kramarz nie skłamał więc. Ale gdzie się dowiedział, że ja oczekuję tego prałata? Na próżno łamałem sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki udając się do pomieszkania Monsignora.

Monsignor Ettore Testaccio wstał właśnie od stołu gdy mnie zapowiedziano, niemogłem go znaleźć w lepszym usposobieniu. Przyjął mnie jak najlepiej, powiedział mi, że słyszał już o mnie od mistrza Angelo Volpe. Mówił o nim z wielką pochwałą i jako wielki znawca naszej sztuki.

— Mozaika jest sławą tegoczesnych Włoch, rzekł; z pomiędzy wszystkich narodów chrześcijańskich schroniło się do Włoch to kamienne malarstwo uwieczniające swe dzieła. Można nawet powiedzieć bez przesady, że nigdy ani Grecya

starożytna, ani państwo Byzantyńskie, ani starożytny Rzym, niestanął w tym kunszcie na tym szczeblu doskonałości, na jaki go wynieśli tegocześni mistrzowie włoscy.

— Jeżeli kiedy zostanę papieżem, dodam uśmiechając się, to pewnie moim staraniem będzie restaurować ten wzniosły kunszt. Ozdobę nasze kościoły i pałace temi trwałymi i lśniącymi freskami, które jedynie opierają się wszystkim wpływom powietrza, których kolory zachowują swą świeżość nawet na gruzach pomników, których były ozdobą. Miło mi z ciebie poznał, signore Manello! Jesteś młody, a opierając się na tym co mi o tobie mówił mistrz Volpe, liczę na twą pomoc: będziemy razem restaurować mozaikę.

To pochlebne zdanie i życzliwość, z jaką mnie przyjął światły prałat, dodały mi otuchy.

— A teraz powiedz mi, czém ci się mogę stać użytecznym w tej chwili?

Wyznałem mu szczerze moją miłość dla Giglii, opowiedziałem mu wszystko wyjaśniając mu że tej głębokiej namiętności zawdzięczam gorliwość w pracy i żądzę sławy. Słuchał mnie z widocznym wzruszeniem, przerywając mi co chwila:

— Ah! gdybym był o tym wiedział!.. Co za nieszczęście że ci pierwój nie przyszło na myśl widzieć się za mną!.. Jakąż brzydką rolę odgrywałem, bez mojej wiedzy!... Biedne dzieci, ile musieli cierpieć!..

Niepomiąłem żadnego szczegółu, opowiedziałem nawet naszą przygodę w Ri-

mini. Była-to, mogę powiedzieć, powszechna spowiedź, i rzeczywiście nie mogłem znaleźć spowiednika, któryby lepiej przejęty był pobłażaniem Zbawiciela dla tych co wiele kochali.

— Słuchaj, kochany przyjacielu, rzekł wkońcu, teraz kiedy ten biedny Romolo Gangheri już nieżyje, wszystko da się naprawić. Ze względu na wasze cierpienia, uzyskam dla was dyspensę dla skrócenia żałoby. Niezadługo będziecie szczęśliwi. Jednak kładę ten warunek, ażebyś się niezwłocznie udał do Rzymu pocieszyć mistrza Angelo i żebyś się wspólnie z nim znowu wziął do pracy. — Idź z Bogiem, mój młody przyjacielu, rzekł zegnając mnie; kochaj moją chrusną córkę, ufaj w Bogu i licz na mnie.

Tę pomyślną rozmowę powtórzyłem Giglii, co najlepszy wpływ wywarło na jej zdrowie; od tej chwili rumieniec powrócił na jej lica, a wszelka bojaźń ustała. Nic już niebrakowało do naszego bezpieczeństwa, byliśmy pewni że się nadzieje nasze spełnią. Dobry Giannone był u szczytu swych życzeń, kochał mnie bowiem jak syna, nawet Marya zmieniła względem mnie swe postępowanie, i zapewniała że gdyby dawniej miała wolny wybór zięcia, tedy Manellino byłby miał pierwszeństwo.

Wnet nadeszła dyspensą, którą nam przyrzekł Monsignor Ettore i oznaczono nakoniec dzień naszego ślubu. Należało uwiadomić o tym moich przyjaciół w Rzymie; ale tą razą niepisałem do Plautilli; myśląc o niej, szczęście moje ciążyło mi jak wyrzut sumienia. Jednak

mistrz Angelo przywiózł ją z sobą do Ankony. Zaczynał ten człowiek być tego zdania, że dzień wesela niemoże się obejść bez przyjaciół; zmusił swą córkę ażeby mu towarzyszyła niedomyślając się na jakie udręczenia ją naraża swém naleganiem.

Mówiłem już panu, że Plautilla silnego była charakteru; gotowa była uczynić ofiarę z siebie i być obecną na ceremonii mego ślubu, ażeby mnie uspokoić udając wesołą rezygnację. Przybyła tedy i w obejściu ze mną a nawet z Giglią okazywała się równie dobrą, równie serdeczną jak zawsze. Niedomyślając się że ta jej wesołość jest tylko udana, napawałem się bez wyrzutu rozkoszą mego szczęścia.

W istocie nigdy w życiu niebyłem tak szczęśliwy jak w ciągu tego tygodnia przed moim ślubem. Ze Giglia ma zostać moją, moją nazawsze, ta myśl unosiła mnie w niebo; pewność że jestem u celu mych najgorętszych życzeń, że się urzeczywistniają najśmielsze marzenia moje, upajała mnie nieznaną nigdy rozkoszą. Nie spałem po całych nocach, prawie nie jadłem, miałem dość siły w sobie by się utrzymać.

W takich chwilach, kiedy wielka namiętność nas owładnie, zdaje się że duch tylko nas ożywia, a pokarm ciału tak jest niepotrzebny jak w przyszłym życiu nieśmiertelném.

Monsignor Ettore Testaccio dawał nam ślub; zrobił sam tę uwagę że Giglia tą razą odpowiadała przy ołtarzu głośniej i śmieliej niż przy pierwszym ślubie. Zapewniał że stadło nasze obudzi zazdrość

w najszcześliwszych, i przyrzekł Giglii że pierwsze jej dziecię będzie trzymał do chrztu. Wieczór była uczta rodzinna; Angelo i Plautilla przyłączyli się do nas. Przy stole zrobiłem uwagę że Plautilla była uróżowana, zapytałem ją o przyczynę:

— To z chęci przypodobania się, odpowiedziała biedna kobieta, to z kokieteryi.

Bóg wie czy Plautilla mówiła prawdę; czy nie uczyniła to raczej, by ukryć swą bladość i ażeby się zdawało, że całym sercem podziela naszą radość.

Okolo północy odeszła z swym ojcem; za chwilę odeszli rodzice. Zostałem sam na sam z Giglią. Spojrzała na mnie wzrokiem miłości, potem zapłonęła jak róża; objąłem ją w pól i zaprowadziłem do naszego pokoju. Serce moje biło gwałtownie; tak byłem wzruszony, że się czułem blizkim zemdlenia: wszystkie gwałtowne wzruszenia podobnie się objawiają, chociaż przyczyny ich rozmaite.

Ręka jej drżała w mej dłoni, usta nasze były nieme, wyrażaliśmy miłość naszą tylko uściśnieniami rąk i pocałunkami. Przybywszy do sypialni zostawiłem ją przy toalecie a sam otworzyłem okno, by odetchnąć chłodzącym wiatrem od morza, który orzeźwiał tę parną noc letnią. Nigdy dusza moja nieprzeżyła godziny tak rozkosznej, nigdy nieczułem w mém sercu tyle zachwyty i szczęścia. Szczęście, tak znikome, tak rzadkie, za którym prawie wszyscy na próżno się ubiegają, to szczęście osiągnąłem nakoniec. Miłość i sława miały mi

zawsze przyświecać, co za życie! i to życie miało być mojem.

Tak marzyłem czas jakiś, gdy w tém Giglia wydała krzyk przeraźliwy, taki sam jak wtedy, gdy przejęta trwogą na widok ducha swego męża, padła bez zmysłów w moje ramiona, wyjąknęła tylko:

— Boże!.. zlituj się!..

Obróciłem się i ujrzałem przy łóżku odkrytém, oblubienicę moją leżącą bez pamięci. Obok nięj, widziałem-to tą ręką na własne oczy, stał Romolo Gangheri. Patrzył na mnie przeszywającym swym wzrokiem jak w Rimini.

To okropne widzenie trwało jedno okamgnienie. Rzuciłem się w tę stronę, widzenie znikło: zostałem sam z Giglią leżącą bez ducha. Niewezwiałem nikogo na pomoc, niemyślałem nawet o tém. Zacząłem wołać Giglię przejętą okropną trwogą; usiłowałem ożywić jęj piękne ciało, które nagle ostygło. Strach ściał krew w jęj żyłach: członki jęj były odrętwiałe jak w napadzie kurczowym. Straszny-to był widok!

Ile razy wspomnę o tęg okropnęg nocy ślubnęg, boję się zawsze, bym nie stracił reszty rozumu. Niewiem jak długo trwała ta okropna chwila; niepodobna mi opowiedzięć wszystko czego próbował by wydobyć z nięj jedno technienie, jeden choćby najślabszy znak życia. Niemogłem sobie nigdy przypomnęć wszystkie te moje usiłowania natechnione upojeniem rozpaczy.

Usiłowałem jak dawnięj ożywić jęj ciało mojem własnęg technieniem i silną wolą moją, ale nadaremnie; żaden znak

życia nie uspokoił mego gorącego pragnienia. Bóg tylko wskresza umarłych.

Chwilami ustawałem i czekałem wmiawiając w siebie że to sen, że letarg; ale wnet znowu popadałem w okropne domysły, powtarzałem me usiłowania by ją wskreszić. Wszystko było daremne: nieodpowiadała już na mój głos, a serce jęj już bić przestało. Wtedy zacząłem płakać i łkałem tak silnie, że wkońcu nadeszli domownicy.

Tu zciemniają się moje wspomnienia co raz więcej. Wypytywano mnie, a ja opowiedziałem okropne widzenie; Marya wydawała przeraźliwe krzyki. Zawołano lekarza, ten oświadczył że Giglia nieżyje. Późnięj słyszałem spiewy pogrzebowe; wynoszono zwłoki męj Giglii. Chciałem wstać by się udać za pogrzebem, niemogłem się podźwignąć: okropne boleści trzymały mnie na łożu.

Późnięj jeszcze słyszałem, jak mówiono przy mnie o przykładaniu pieczęci. Wtedy widziałem jak wszedł do pokoju człowiek z srogim wyrazem w twarzy; był-to Osa, ów kramarz, ale tą ręką miał na sobie suknie zwyczajne, niemiał ani siwęg brody ani zmarszczków na czole.

Na jego widok odzyskałem na chwilę przytomność umysłu, poznałem w tym człowieku Romola Gangheri, którego wszyscy mieli za umarłego. Rzekł do tych, co mówili o pieczętowaniu:

— To niepotrzebne, jestem Romolo Gangheri; przybywam w tęg chwili z Santorin, gdzie mnie wyratowali rybacy po rozbiciu mego okrętu i przywrócili mnie

do życia, idźcie sobie z Bogiem, niechaj spokojnie opłakują zgon mojej żony.

I zbliżając się do mnie rzekł cichym głosem tak, iż prócz mnie nikt nie dosłyszał:

— Spodziewam się, że teraz już jestem pomszczony! ona nie żyje a ty w rozpacz.

Patrzyłem na niego z osłupieniem nie mogąc odpowiedzieć ani słowa; w tém uczułem w mój dłoń uściśnienie ręki kobiety; była-to ręka Plautilli.

— Biedny Manello! rzekła do mnie, chodź ze mną; odtąd już cię nieopuszczimy.

I wyciągnęła mnie z tego złowrogięgo domu. Długi czas potem ocknąłem się jak z przykrego letargu. Byłem już w Rzymie w domu mistrza Angelo Volpe. Plautilla, mój anioł opiekuńczy, czuwała nademną, jak zawsze z miłością i troskliwością. Dzięki jej staraniu przyszedłem zwolna do zdrowia i odzyskałem zmysły. Od tego czasu pokutuję za kradzież naszej nowenny, którą popełniła matka Giglii, i biorę sam udział w pobożnych serenadach dudarzy podczas świąt zimowych. Albowiem temu świętokradztwu Maryi Michelli przypisuję całe moje nieszczęście...

Niestety! już kilka lat minęło od śmierci Giglii, a ja jeszcze nie znalazłem pociechy, ani spokoju.

Manello Moschini kończył swoje opowiadanie, którego dziwne przygody przy-

pominają fantastyczne legendy wieków Alberta i Fausta, gdy gospodyni domu w którym mieszkałem, wprowadziła do mnie kobietę liczącą około trzydziestu lat; ujmowała powabem kształtów i szlachetnością rysów.

— Już późno, Manello, rzekła skłoniwszy się z wdziękiem; byłam już niepokojna o ciebie.

— Kochana Plautillo, za chwilę pojedę z tobą.

I zwracając się raz ostatni do mnie rzekł:

— Od owjej chwili, zaniechałem zupełnie mojej pracy. W Rzymie mają mnie prawie wszyscy za obłąkanego; domniemanemu obłąkaniu memu przypisują ten wstręt od kunsztu, któremu się dawniej oddawałem z taką gorliwością.

Potem biorąc za rękę młodą kobietę, która właśnie weszła:

— Dobra Plautilla, dodał z rozrzewnieniem, Plautilla jedna niezwątpiła jeszcze o mnie.

— Tak jest, odpowiedziała Plautilla, nietracę nadziei kochany Manello; to co byś był uczynił z miłości dla niej, to uczynisz kiedyś z litości dla mego ojca i z przyjaźni dla mnie.

— Iddio mio! rzekł na to biedny kochanek, ocierając łzę, jeżeli tak ma się stać, czyż nie lepiej, ażeby się stało z przyjaźni dla mistrza Angelo, a z miłości dla ciebie, kochana Plautillo!

Koniec.

DZIAD O DWÓCH FLETNIACH.

Legend a.

Było w księstwie Kalenberg w czternastym wieku miasto Hamelen. Zbudowane u ujścia dwóch rzek Hamel i Wezery, miało dostatni port, dokąd zachodziły statki z całego świata. Towary ztamtąd rozchodziły się na całe Niemce. Wysławiane zato téż było z handlu, bogactw nawet potęgi, a komu się wolno było pochwalić „jestem Hamelaniu,“ to tyle znaczyło co „*civis romanus*“ tyle go poważano i szanowano wszędzie.

Lecz ztąd ze miastu dobrze się wiodło, mieszkańce wzniesli się w pychę, i dopuszczali się bezprawia i krzywd bez obawy.

Raz zawija do portu jakiś okręt cudzoziemski tak dziwnie zbudowany że zastanowił najstarszych marynarzy, bo-to płynął bez zagli, bez rudla, a niósł towary najkosztowniejsze; co od jedwabiów, co od skór wonnych, prochu złotego, korzeni wschodnich! wody się pod nim rozstępowały, a to wszystko jeden sam człowiek prowadził, jakiś Dziad z białą brodą, w sutanie żółtój jedwabnej, lnianym pasem przepasany, a u szyi miał dwie piszczałki na srebrnym łańcuszku, biała jedna z kości słoniowej, a druga czarna z hebanu.

Zbiegli się Hamelanie do portu widzieć ten dziwny okręt i jego sternika. Dziaduszek przyjmował gości bardzo grzecznie, rozkładał przed nimi towary, ale gdy go pytano: „z kąd on i co za jeden?“ odpowiadał: przybyłem dla handlu a nie prawić o sobie. Kupujcie państwo!

Ale kupować nikt nie chciał, odchodził każdy w oczy z ukłonem, a po-za oczy prawil o cudzoziemcu co mu przez myśl przyszło; jedni mówili o nim: to Żyd orientalny, łakomstwo zapędziło go za morza dalekie; drudzy utrzymywali to jakiś Indyjanin przebił się niewiedzieć którędy przez morze północne; a inni jeszcze twierdzili to pewnie rozbójnik morski, co towarzyszków swoich potracił.

Ten domysł przypadł mieszkańcom do smaku, bo nim można było dokuczać starcowi, i wkrótce roznieśli się po całym mieście, że Dziad o dwóch fletniach — jak go przeważano — to jest morski opryszek, radby zdobyć swoje pozbywać. Niektórzy zatem radzili, sądownie go badać, niech prawdę zezna, a z kupców jeden w obawie zawodnictwa wniósł publicznie: zagrabić cały towar bo podejrzany; i na to się miasto całe zgodziło. Więc wszyscy z pomową do rady miejskiej, a burmistrz wyprawił kilku rajców, ażeby towar zagrabić.

Na próżno starzec przekładał że go nieśluszenie grabią; rajcy odpowiedzieli: jak się wywiedziesz, wyda się towar, a przy oporze i sam pójdziesz do więzienia.

Widział starzec że tu opór nie wiele nada; siadł więc u steru, i patrzył jak wynosili jego dobytek; dopiero gdy wszyscy zeszli już na brzeg, powstał, odpiął linę z kotwicy i puścił się rzeką.

A stała na brzegu rzesza, rajcy także patrzyli z portu; gdy ich starzec zobaczył, przechylił się za poręcz i zawołał:

Opuszczam was ludzie niegodziwi! odjeżdżam wywołaniec złupiony; ale na karę zostawię wam coś w pamiętce.

I wyjął z zanadru puszkę czerwoną, otworzył i wypuścił trzy szczury, jeden był czarny, drugi rudy, popielaty trzeci.

Skoczyli szczury wiatrem do wody, i pędem wypłynęli na brzeg, a okręt pojechał.

Śmieli się mieszkańce z zemsty Dziada, ależ dało im się we znaki. Tydzień nie minął, rozmnożyły się szczury jak zaraza, i opanowali miasto całe. Wygryzli wszystkie zwierzęta domowe, powgnieżdżali się w gniazda jaskółcze, bo już po piwnicach miejsca nie stało; nie nakryć było do stołu, szczury już wprzódy wszystko strawili; turmą posiadało

to magazyny, zapasy jakie gdzie były, poszły na zér plugastwu, w jednym dniu spasali tyle coby wystarczało ludziom na cały rok. Nastął głód, szczury rzucili się na towary, na odzież, bieliznę, na zagle, na liny, a gdy i tego nie stało, więc kruszyć sprzęty, podłogi, odzwierza, belki, dachy, i co tylko dało się ugryźć, wściekli w głodzie rzucali się na ludzi, i gdzie dopadli spiące i małe dzieci, pozerali.

Rozpacz brała, ani rady być dało, cokolwiek zasadzą mieszkańce, jakby na złość szczury jeszcze się gorzej pastwili; w głowę zachodzili Hamelanie, bo to i sklepy poniszczaly, a cudzy okręt zaden ani daj Boże zawitać do portu bo pewnie zmarniał. Dopiero Hamelanie biorą się na sposób i obwołują: „Sto tysięcy czerwonych złotych temu, co wybawi miasto od szczurów!”

Mijają czasy, nikogo nie widać; aż jedną razą przybija okręt bez żagłów, i na nim Dziad o dwóch fletniach.

Nie zawija do przystani, ale z-za portu podaje do rady hamelańskiej list z oświadczeniem, że oswobodzi miasto od szczurów za sto tysięcy czerwonych złotych.

Zbiegli się rajcy do portu, zaprosili starca na ład, i zaprzysięgli sto tysięcy czerwonych złotych, jeżeli ich od szczurów wybawi.

Ufny przysiedze wystąpił starzec na ład, wziął piszczałkę słoniową do ust, puścił się ulicami miasta Hamelen, przygrywując jakaś piosnkę na nutę dziwną do niepojęcia. A na te tony, gdzie był szczur jaki, czarny, czerwony czy popielaty wypadał za nim, ciskał się w tłokę nieprzejrzaną, i falami sunął za dziadem; dziad przodem idzie, idzie do portu, szczury za nim do jednego na okręt i popłynęli do ujścia rzeki.

Ztamtąd wraca sam starzec i mówi do rajców:

Dotrzymałem mego słowa, dotrzymajciez waszego!

Ale rajcy, kiedy strach minął, zaczęli ona czyć.

Hm! mówią jedni, jaka praca, taka i płaca; za jedną nutę z piszczałki, troszkę za wiele sto tysięcy czerwonych złotych!

Dajcie mu dwieście dukatów, mówią drudzy, i to dosyć!

Dwieście! ozwał się kupiec co to i dawniej doradził grabienia, za co? za to że był sprawcą naszego nieszczęścia?

Prawda! zawołali wszyscy.

Zamiast mu płacić, należałoby go osadzić w katuszy; niech będzie rad gdy mu płazem puścimy krzywdę; przebaczenie nasze nagrodą dla niego.

Nic nie pomogło co starzec wystawiał i przypominał że mu przysięgli; rozkazano milczyć, a jeden z nabożnych rajców złożył ręce na piersi, oczy w niebo zawrócił, i mówi: chodźmy podziękować Bogu jednemu, on sam nas wybawił — i wszyscy tłumem do kościoła składać dzięki Panu w niebiesiech, jak gdyby modłami przemycić mogli serce zdradzieckie do nieba.

Dziad stał na miejscu jak wryty, aż się wszyscy ścisnęli do pańskiej świątyni.

Niechże będzie nagroda wedle zasługi, zawołał, i dobył piszczałki czaruńej z hebanu, puścił się ulicami i zaczął grać nową nutę, a na jej tony zaczęły z domów wyłazić dzieci jakby ich co pchało, i cisnęli się za dziadem; rzesza rosła, rosła, a dziad przodem do portu, dzieci za nim, i popłynęli.

Ludzie się tymczasem modlą w kościele; w tém huknął głos nagle:

„Za grzechy ojców, dzieci odpokutują.“

Porwali się wszyscy jak oparzeni, bo rozpoznali głos starca, wypadają z kościoła, leca do portu, dziada już niema, ale co fala uderzy, to trup jednego dziecięcia.

Na pamiątkę wystawili w tém miejscu kaplicę, i sprawili obraz, jak matki w rozpaczcy zawodzą ponad Wezerą, a tonące dziecięcki wyciągają ku nim rączata; pod spodem podpisali:

„Dzieciom naszym pomarłym, ze złości szatańskiej.“

Ale ten napis, powiadają, jakaś niewidoma ręka jeszcze tej samej nocy przeonaczyła, i nazajutrz czytali ludzie:

„Dzieciom naszym pomarłym, dla nieprawości ojców.“